

EDYTA ŚWIĘTEK

Sekrety kobiecych dusz

SAGA KRYNICKA

© Wydawnictwo WAM, 2023

© Edyta Świętek, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce: © KathySG/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3385-6

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.



POTRZEBY SERCA

Rok 1894

Kraków

– Proszę powiedzieć, panie doktorze, czy wolno mi żywić nadzieję? Czy ból brzucha, męczący mnie od dłuższego czasu, oznacza to, o czym myślę? Mogę przekazać mężowi dobre nowiny?

Matylda Adamczyk spoglądała wnikliwie na doktora Maksymiliana Cerchę*, który przyszedł z wizytą domową, gdyż od kilku dni fatalnie się czuła. Nerwowym gestem wygładzała wymagowaną fałdkę na sukni. Jej dłonie drżały, a serce łomotało niespokojnie.

– Bardzo mi przykro, *madame*, lecz ból, na który się pani uskarża, nie ma nic wspólnego z tymi oczekiwaniami. Niestety, to histeria pokarmowa, która ma ścisły związek

* Maksymilian Cercha – postać autentyczna. Bratanek krakowskiego artysty malarza i złotnika, również Maksymiliana Cerchy. Poślubił jego córkę Helenę. Doktor praktykujący w Krakowie oraz Krynicy.

ze stanem pani nerwów. Jest pani zbyt rozemocjonowana, stąd bóle brzucha, mdłości i niestrawność.

– Och... – Całą odpowiedzią Matyldy było jedynie westchnienie. Przez chwilę kobieta nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, wiedziała, że próba powiedzenia czegokolwiek zakończyłaby się rzewnym płaczem.

Tak bardzo pragnęła potomka! Od pięciu lat szczęśliwie zamężna, do tej pory nie zdołała zajść w ciążę, mimo usilnych starań Seweryna. Nie pojmowała, co stoi na przeszkodzie, skoro ślubny regularnie wypełniał swe powinności, nie szczędząc jej czułych pieszczot. Miała to szczęście, że wyszła za mąż z miłości, a nie pod wpływem rodziny. Seweryn był pociągającym mężczyzną, starszym od niej o niespełna piętnaście lat. Ta różnica wieku nie stanowiła problemu, Matylda bowiem ceniła dojrzałość ukochanego męża. Nigdy nie gustowała w młodzikach, wychodząc z założenia, że tylko stateczny człowiek zapewni jej spokojne i beztrudne życie. Rówieśnicy zawsze wydawali jej się zbyt gorączkowi i nieobliczalni. Od koleżanek, które niefrasobliwie zawarły małżeństwa z panami w zbliżonym do swojego wieku, niejedną raz zasłyszała zwierzenia o scenach zazdrości, sprzeczkach czy braku porozumienia. Matyldy i Seweryna nie dotyczyły podobne bzdury. Mąż całkowicie jej ufał, nie irytował się, gdy inni dżentelmeni próbowali ją subtelnie adorować, nikogo nie wyzywał na pojedynek za nadmierną atencję. Ale też i ona nie wikłała się w sytuacje, które mogłyby dawać panu Adamczykowi powody do zazdrości. Dużo ze sobą rozmawiali, często zwierzała mu się ze swych myśli. Opowiadała mu znacznie więcej niż

znajomym paniom. Gdyby kogoś w swym otoczeniu miała określić mianem przyjaciela, to z całą pewnością nie byłaby to żadna kobieta, lecz Seweryn – taka relacja zdecydowanie była ewenementem.

Nic więc jej nie hamowało: żadna niechęć czy wręcz wstręt do małżonka. Figłowała z nim nader ochoczo, choć podobno damie nie przystoją zbyt frywolne poczynania w sypialnianym zaciszu. Była szczęśliwą mężatką i tylko brak dzieciątka spędzał jej sen z powiek i coraz częściej bywał przyczyną łez. Nawet teraz z trudem nad nimi panowała. Już mięła w dłoni batystową chusteczkę, gotowa, by w każdej chwili jej użyć.

– I co mam zrobić, panie doktorze? Wszyscy oczekują radosnych nowin. Czuję się taka... niezdatna. Inne kobiety mają po kilkoro potomków, ja pragnę powić choćby jedną dziecinę.

– Jest pani jeszcze młoda, nie wszystko stracone. Zalecam spokój i wyciszenie. Może wyjazd do wód?

Odpowiedziało mu pociągnięcie nosem. Doktor pożegnał pospiesznie panią domu, nadmieniając, że zajrzy jeszcze na słówko do Seweryna. Wolał z nim omówić szczegółowo kwestię swego pomysłu na kurację.

– Powiedzże mi, przyjacielu, czy zostanę nareszcie ojcem? – zagadnął gościa pan domu po krótkim przywitaniu. Wcześniej zaproponował mu filiżankę kawy, na którą tamten z ochotą przystał.

Mężczyźni rozsiedli się w gabinecie. Adamczyk utkwiał w lekarzu wzrok pełen nadziei.

– Obawiam się, że będziesz musiał jeszcze trochę poczekać. Przypadłości twej małżonki, choć mogły wprowadzić ją w błąd, nie zwiastują nowin, których wyglądasz z utęsknieniem.

– Ale jak to? Przecież Matysia od dłuższego czasu narzeka na złe samopoczucie.

– Tak, owszem, trochę niedomaga. Ale zdecydowanie nie wskutek ciąży – oznajmił wprost.

– A zatem co doskwiera mojej żonie?

– Z przykrością muszę stwierdzić, że to dolegliwość zupełnie innej natury. Histeria pokarmowa. Matylda sama przyznała, że ostatnio źle się odżywia. Jada zdecydowanie zbyt mało, odstręcza ją od wszelkiego mięsa i najchętniej syciłaby się wyłącznie słodkościami. Stąd ucisk na wątrobie i mdłości. Twoją żonę osłabił brak sutego jądła oraz ciągłe wapory.

– Jest wrażliwa – bąknął Seweryn.

– Przewrażliwiona, przyjacielu, nazywajmy rzecz po imieniu – poprawił go doktor. – Sam nieraz wspominałeś o jej nerwach. Myślę, że w dużej mierze to one stają na przeszkodzie macierzyństwu. Matka powinna być ostoją spokoju, wyciszenia...

– Ale nerwy Matysi wynikają właśnie z braku potomka – odparł pan domu.

Dla niego sprawa była równie przykra jak dla ślubnej. Od pięciu lat bezskutecznie usiłował dowieść swej męskości. Cała familia wyczekiwała niecierpliwie wieści, że zostanie zachowana ciągłość rodu. Już mu nawet z tej okazji składano gratulacje, gdy jakiś czas temu Matylda

nieopatrznie dała do zrozumienia świercze, że może być brzemienna. Cóż! Jej słowa okazały się fałszywym alarmem i pociągnęły za sobą sporo łez. Płakała zarówno niedoszła matka, jak i kandydatka na babcię. Od tamtej pory Matylda z ogromną determinacją spełniała małżeńskie powinności nawet wówczas, gdy doskwierało jej złe samopoczucie czy ponury nastrój. Coraz częściej też popadała w melancholię lub dla odmiany w histerię. Zakochany w niej Seweryn nie mógł patrzeć na tę rozpacz i sam także odczuwał narastającą frustrację.

Smutek obydwójga znacznie się pogłębił, gdy przed dwoma laty Konstancja Adamczyk ciężko zachorowała, a następnie dokonała żywota, nie doczekawszy się pomyślnych wieści.

– No właśnie – skwitował doktor. – To się po prostu zapętała. Matylda nie zachodzi w ciążę, bo jest znerwicowana, a z kolei nerwy są skutkiem braku potomka.

– Co radzisz?

– Możliwości jest kilka. Przede wszystkim należy uleczyć histerię twojej żony. Wyciszonej kobiecie natura prędzej pobłogosławi dzieciną.

– Ba! Tylko jak tego dokonać?

– Matylda powinna wyjechać na lato do renomowanego uzdrowiska. Ze swojej strony polecałbym Krynice. Tamtejsze wody zdrojowe mają dobroczynny wpływ na wiele schorzeń natury żołądkowej oraz kobiecej. To byłaby wielokrotna korzyść, bo za jednym zamachem pozbylibyśmy się hysterii pokarmowej, uregulowalibyśmy funkcjonowanie organizmu, a przy okazji poprawilibyśmy kondycję psychiczną

twojej małżonki. Jestem przekonany, że pobyt w kurorcie doskonale by na nią wpłynął. Co więcej, zalecałbym pobyt nie przez jeden sezon, ale przez całe lato.

– Taa... Tak – zająknął się Seweryn. – Ale czemu akurat Krynica? Nie można by gdzie indziej?

– Owszem, można. Ale bacz na to, że w Krynicy mam sezonową praktykę. Zatrzaszczyłbym się o twoją żonę jak należy. Na pewno byłoby jej przyjemniej, gdyby kurowała się pod okiem kogoś, kogo zna i, jak sądzę, darzy zaufaniem.

– Słusznie – przyznał pan domu.

– A widzisz? Zatem ulokuj tam żonę na całe lato, zresztą nic nie stoi na przeszkodzie, abyś jej towarzyszył. Od połowy maja do połowy września będę w Krynicy wraz z moją rodziną. Jak wiesz, od kilku sezonów pełnię tam obowiązki lekarza uzdrowiskowego.

– Właściwie dobrze by się złożyło – westchnął lekko Adamczyk. – Miałbyś oko na kurację Matysi.

– Otóż to. Mógłbym na bieżąco zlecać kolejne zabiegi, a tam naprawdę byłoby w czym wybierać. U mnie miałyby do dyspozycji hydroterapię, a prócz tego zalecałbym również dobrodziejstwa płynące z łaźniek borowinowych i Zakładu Dietetycznego doktora Bolesława Skórczewskiego*. To byłaby naprawdę kompleksowa kuracja.

– Uważasz, że stan zdrowia Matyldy wymaga aż takiego zachodu? – zapytał Seweryn i od razu pożałował swych słów. Wszak wszyscy wokół wyrażali zaniepokojenie tym, że małżeństwo z pięcioletnim stażem pozostaje bezdzietne.

* Bolesław Skórczewski (1848–1911) – doktor nauk lekarskich.

Adamczyk bywał zmęczony tą sytuacją i coraz częściej łapał się na tym, że żona, poza którą jeszcze do niedawna świata nie widział, zaczyna wzbudzać w nim irytację. Miał szczerze dość spazmów, waporów i melancholii. Chciał szczęśliwej rodziny. Poczucia, że wraca z pracy do domu, w którym jest mu komfortowo pod każdym względem. Tęsknił za dawną Matyldą: ciekawą świata i radosną trzpiotką, pakującą się czasami w jakieś niedorzeczne historie, odważnie wygłaszającą swe myśli i momentami wręcz nieprzyzwoicie nowoczesną. Nie przeszkadzały mu nawet feministyczne zapędy połowicy, co więcej, sam dostrzegał sens w działaniach podejmowanych przez sufrażystki.

Cercha spojrział na niego wymownie.

– Zatem wszystko ustalone: za trzy tygodnie spotykamy się w Krynicy – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Moja Helenka* ochoczo wprowadzi Matyldę w lokalne przyjemności i zapozna ją z interesującymi osobami na odpowiednim poziomie, więc nawet gdy ty wrócisz do Krakowa, ona na pewno nie będzie tam narzekać na nudę.

Kilka minut później doktor opuścił mieszkanie Adamczyków. Seweryn został sam. Sięgnął do kasetki po cygaro, przyciął końcówkę, zapalił. Po chwili wciągnął w usta dym o lekko cierpkawym posmaku. Lubił nie tyle sam proces palenia, co zapach tłącego się drogiego tytoniu. To dawało mu odprężenie, którego teraz bardzo potrzebował. Dzień zaczął się od złych wieści. Pierwszą przyniósł prywatny

* Helena Cercha – postać autentyczna. Córka Maksymiliana Cerchy, krakowskiego malarza, złotnika.

detektyw, którego jakiś czas temu wynajął w celu przeprowadzenia śledztwa wymagającego dyskrecji, drugą usłyszał od doktora. Choć powinien teraz pójść do buduaru, by podnieść na duchu żonę, która z całą pewnością zalewała się gorzkimi łzami, tkwił w gabinecie otoczony kłębem aromatycznego dymu.

Krynica

Aurelia Drzewicka stała nad mogiłą. Wciąż nie mogła uwierzyć, że w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat została wdową. Jej świat, do tej pory dość pogodny i szczęśliwy, legł niespodziewanie w gruzach. Nic bowiem nie wskazywało na to, by Jan miał ją tak nagle opuścić. Owszem, od dnia pewnego niefortunnego zdarzenia uskarżał się czasami na bóle głowy, lecz kogo nie dręczą absolutnie żadne dolegliwości? Dionizy Litwora, mąż Emilki, pokpiwał nawet, że Jasieczek miewa migreny niczym matrona z waporami, jakich wiele gości w okolicznych pensjonatach.

Aurelia nieszczególnie przepadała za Emilką oraz pyszałkowatym Dziem. Ludzie ci, choć wśród elit towarzyskich uzdrowiskowej części Krynicy uchodzili za dobrze wychowanych oraz kulturalnych, wzbudzali jej głęboką nieufność. Pod lukrowanym uśmiezkiem pani Litwory dostrzegała starannie zawoalowaną obłudę, na którą chyba nikt prócz niej nie zwracał uwagi. Ba! Dwudziestosiedmioletnią Emilię wręcz stawiano za przykład panienkom, wychwalając jej nienaganne maniery oraz anielską naturę. W gronie mężatek natomiast określano ją jako idealną panią domu, która przy

nieszczególnie dużych środkach finansowych potrafi prowadzić gospodarstwo na najwyższym poziomie, a dodatkowo jest wspaniałą matką dwójki dzieciaczków: Teodozji zwanej pieśzcotliwie Teosią oraz Stasia – prawdziwych aniołków, poza którymi świata nie widzi.

Aurelia od dawna nie roztrząsała swych sympatii i antypatii. Głowę miała zajętą innym problemem. Choć od śmierci męża minęło już pół roku i ból po jego stracie nie malał, wiedziała, że powinna podjąć jakieś kroki związane z przyszłością. Nie mogła przecież tkwić w nieskończoność u teściów, nie chciała „łaskawego chleba”. Ale i powrót do Powroźnika nie byłby chyba najlepszym pomysłem. W minionych sześciu latach zanadto odbiegła stylem życia, mentalnością i nawykami od łemkowskich* chłopów, choć często zaglądała do domu rodzinnego. Doceniała też fakt, że jej świekra, Felicyna, darzyła Juraszków szacunkiem i traktowała ich nader przyjaźnie, często zapraszając w swe gościnne progi. Teściowa zachowywała kamienną twarz nawet wówczas, gdy wśród okolicznej socjety szemrano, że dopuściła, by jedyny syn popełnił mezalians, wiążąc się z panną o prostaczym pochodzeniu.

Nie jestem omdlewającą dobrze urodzoną panienką, by zwać się na takie drobiazgi – pocieszała niejedną raz samą siebie, znosząc drobne szpileczki, które czasami ktoś jej wbijał.

* Łemkowie – wschodniosłowiańska grupa etniczna identyfikująca się jako część narodu rusińskiego. W czasach, gdy rozgrywa się akcja niniejszej powieści, Łemkowie stanowili mniej więcej połowę krynickiej społeczności.

Aurelia dawno temu zdążyła się uodpornić na niesprawiedliwość ze strony osób, które miały się za lepsze od niej. Wiedziała, na co się porywa, wychodząc za mąż za Polaka, choć na co dzień okoliczni Polacy i Rusnacy* żyli ze sobą w niezłej komitywie. Zresztą narodowość to jedno, a pozycja społeczna – drugie. Niełatwo było córce chłopca, która związała się z potomkiem szanowanej krakowskiej rodziny mieszczańskiej oraz krynickiej elity towarzyskiej.

– Do zobaczenia, Janeczku – wyszeptwała. – Przyjdę do ciebie niebawem.

Do tej pory odwiedzała mogiłę każdego dnia, lecz skąd mogła wiedzieć, co będzie jutro, pojutrze, za tydzień?

Na razie nie miała ochoty wracać do domu Pod Lipami** – eleganckiej drewnianej willi wzniesionej w stylu szwajcarskim, w której pomimo upływających miesięcy wciąż panowała żałobna martwota. Nawet wskazówki zegara stojącego w salonie nadal pozostawały nieruchome, wskazując chwilę zgonu młodego pana. Matka zmarłego, pani Felicycy, nie pozwalała służbie, by nakręcono staromodny czasomierz, wcześniej odmierzający przede wszystkim szczęśliwe godziny. Zamilkły więc przesłiczne kuranty, które w minionych latach zachwycały Aurelię. Czas stanął w miejscu.

* Rusnacy – inne określenie ludności łemkowskiej.

** Wypatrzyłam ten dom na mapie przedrukowanej z *Przewodnika dla chorych udających się do Krynicy* B.K. Skórczewskiego z 1883 r. W tym okresie zapewne pełnił funkcję pensjonatu. Na współczesnych mapach już go nie ma. Na potrzeby niniejszej powieści pozwoliłam sobie adaptować do własnych celów.

Młoda wdowa postanowiła, że pójdzie na spacer po parku zdrojowym. Bezczylnie tkwienie w domu zdecydowanie jej nie służyło. Zawsze była w nieustannym ruchu, córkę lemковского chłopca od najmłodszych lat przyuczano do obowiązków domowych. Później kształciła się w Krakowie, a po ślubie sama wciąż wynajdowała sobie jakieś zajęcia. Byle nie tkwić ze znudzoną miną w fotelu, udając, że cieszy ją dźganie igłą w kanwę, szydełkowanie frywolitek czy inne bzdurne robótki, w których upodobanie znajdowały światowe damy.

W Krynicy nie było jeszcze kuracjuszy, ponieważ sezon zaczynał się dopiero za dwa tygodnie. Mogłaby więc, nie zwracając niczyjej uwagi, pójść na Górę Parkową. Albo po prostu przejść się alejkami ukochanej miejscowości, w którą wrosła tak mocno, że nie wyobrażała sobie, by mogła żyć gdziekolwiek indziej. Nawet teraz, gdy pogrążona była w żałobie, doceniała uroki Krynicy. Wcześniej, przez blisko rok, miała okazję zamieszkiwać w Krakowie. Tamtejszy gwar i chaos zupełnie jej nie odpowiadały. Dusiła się w miejskich fetorach. Tramwaje konne wzbudzały jej przerażenie, robiąc nazbyt wiele hałasu. I jeszcze ten rynsztokowy smród. Nie! Nad uroki wielkiego miasta zdecydowanie przedkładała sielankowe życie Beskidu Sądeckiego. Miłym dla uszu był szmer Kryniczanki – potoku, nad którym w ostatnich kilkunastu latach wznoszono coraz większe i piękniejsze wille, służące przyjezdnym jako pensjonaty, oraz liczne budynki uzdrowiskowe. Owszem, pomiędzy majem a wrześniem kurort ożywał gośćmi. Na miejskim deptaku panował wówczas ruch i gwar, lecz nawet wtedy Aurelia dobrze się tutaj czuła.

Od zawsze uwielbiała obserwować eleganckie damy przechadzające się w barwnych toaletach, prezentujące paryskie nowinki. Podziwiała ich zdobne kapelusze z falującymi fryzowanymi piórami – małe dzieła sztuki ki- piące od kwiatów, pierzastych ptaszków i innych ozdób. Obserwowała grację, z jaką poruszały się dystygowane panie w pięknych jedwabnych bądź muślinowych sukniach. Widziała zmieniający się z roku na rok krój spódnic, zni- kające tiurniury wraz z trenami zbierającymi uliczny kurz i pojawiające się znacznie praktyczniejsze fasony. Pragnęła być taką jak owe elegantki, a jednocześnie chciała pozo- stać sobą. Wszak mimo usilnych starań najpierw *madame* Rylskiej, a następnie Felicyty wciąż nie można jej było określić mianem prawdziwej damy. Była kimś znajdującym się pomiędzy dwoma światami: blichtrzem salonów i chatą łemkowskiego pszczelarza.

Aurelia wędrowała niespiesznie, zastanawiając się nad tym, co by było, gdyby przed blisko pięćdziesięcioma laty doktor Józef Dietl* nie wykazał ogromnego zdetermino- wania i nie sprzeciwił się woli urzędników, którzy wydali wyrok na kurort. Z opowieści Felicyty wiedziała, że w ty- siąc osiemset pięćdziesiątym drugim roku zapadła decyzja o zlikwidowaniu dogorywającego Zakładu Leczniczego. Rok później do Krynicy przyjechał Dietl, który przyjrzał się wszystkiemu z bliska i tak sprytnie omówił problem

* Józef Dietl (1804–1878) – zasłużony dla Krynicy polsko-austriacki lekarz, polityk, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, pre- zydent Krakowa w latach 1866–1874.

z urzędnikami, że ci wyrazili zgodę na dalsze funkcjonowanie uzdrowiska oraz jego rozwój. Powstrzymano rozbiorę już istniejących obiektów i wyasygnowano fundusze na rozbudowę infrastruktury.

To wydarzenie, tak znamienne dla dziejów Krynicy, okazało się nie mniej istotne dla Aurelii, choć wtedy jeszcze nie było jej na świecie. Ba! Jej matka była wówczas dziewczynką. Gdyby bowiem Józef Dietl nie przyjechał do urokliwej miejscowości położonej u stóp Góry Źródlanej, zwanej także Parkową, losy Krynicy zostałyby przesądzone – na powrót stałaby się zwyczajną wioską, z biegiem czasu zapewne całkowicie zapomnianą przez Boga i ludzi z dalekiego świata. Tymczasem dzięki dotacji przekazanej przez władze krajowe w Krynicy mógł rozpocząć działalność urząd powiatowy oraz związane z nim instytucje, między innymi sąd. I właśnie pracownikiem sądowym był Sergiusz Drzewicki, dziadek Jana.

Sergiusz przybył do Krynicy wraz ze swoją rodziną. Miał wówczas żonę oraz dorosłego syna Ksawerego, który szybko zwiertzył interes w otwarciu tartaku – wszak na rozbudowę odradzającego się uzdrowiska potrzeba było mnóstwo bali, krokwi, gontów i innych wyrobów drewnianych. Interes okazał się trafiony, rozwijał się fantastycznie, dając podwaliny pod znaczną fortunę. Ksawery Drzewicki związał się z Felicytą spokrewnioną ze słynnym krynickim rodem Nitribittów, którzy byli właścicielami pierwszej w okolicy apteki. Tym samym rodzina na dobre zakorzeniła się pod Górą Parkową. I to właśnie tym wydarzeniom, jakże doniosłym dla dziejów kurortu, swoje krótkotrwałe szczęście

małżeńskie zawdzięczała Aurelia. Wszak gdyby Krynica nie utrzymała rangi ważnego uzdrowiska, nie osiedliliby się tutaj Drzewiccy, a ona nie poznałaby nigdy Jana. Zapewne wyszłaby za mąż za zwyczajnego łemkowskiego chłopca i wiodła żywot prostej wiejskiej kobiety.

Czy byłaby wówczas szczęśliwa?

Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Być może nie znając innego życia, godziłaby się na to, które stałoby się jej udziałem. A może nie? Może „zarażona” przez swego pierwszego nauczyciela głodem wiedzy, zainspirowana lekturą powieści przeznaczoną dla panienek z wyższych sfer tęskniłaby za czymś, co nie miało prawa zaistnieć? Na pewno nie poznałaby wówczas wielu wybitnych osobistości, które jeszcze do niedawna przewijały się przez bawialnię teściów.

O tym, że jednak weszła na salony, zdecydował nie tylko psikus losu, ale również wiele sprzyjających okoliczności.

Kiedy Aurelia wróciła wieczorem do domu, zastała teściową siedzącą beczynn timer. Obok leżała zapomniana kanwa z rozpoczętym haftem, którego od dawna nie dotknęły dłonie właścicielki. Felicjta miała bladą i posępną twarz, a na policzkach ślady łez. Wciąż widać było ból w jej oczach. Musiała niewyobrażalnie wręcz cierpieć, młoda wdowa zdawała sobie z tego sprawę, bowiem jej także ból wręcz rozdzierał piersi. Nie bacząc na to, czy wygniecie sobie suknię, usiadła na podłodze u stóp kobiety. Ujęła jej zimne dłonie i zaczęła ogrzewać je swym oddechem.

– Mateczko, tak nie można. Nie możesz wciąż tkwić w domu. Wiem, że jest ci ciężko, bo straciłaś jedyne syna, ale zamykanie się przed całym światem niczego nie zmieni. Powinnas wyjść przynajmniej do ogrodu, zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza. Wystawić się na dobroczynne działanie wiosennego słońca. Mateczko, błagam... Jan na pewno nie chciałby widzieć cię takiej. Przecież był do ciebie bardzo przywiązany – mówiła, choć nie była pewna, czy teściowa w ogóle jej słucha, gdyż wciąż pogrążona była w kokonie otępienia.

Rzeczywiście Felicjta nie reagowała na słowa synowej. Siedziała nieruchomo, niczym posąg wykuty z zimnego, pozbawionego uczuć marmuru. Aurelia nie przestawała się o nią zamartwiać, ponieważ w minionych miesiącach teściowa jadła zatrwajająco mało. Znacząco wychudła, jej oblicze poorane bruzdami, których wcześniej nie było. Kiedyś pełna życia, energii, pogodna i wiecznie uśmiechnięta, teraz przypominała czarną posępną wronę z mocno posiwiałymi włosami.

Zasmucona brakiem reakcji ze strony teściowej Aurelia położyła głowę na jej kolanach. Plecy młodej wdowy zadrgały szlochem. Od dawna próbowała jakoś ukoić ból Felicjty. Pocieszyć ją tak, jak sama była przez nią pocieszana wtedy, gdy z miesiąca na miesiąc upływał czas, a ona nie mogła przekazać mężowi bardzo wyczekiwanych wieści o powiększeniu rodziny. Aurelii doskwierał wtedy głód macierzyństwa tak bolesny, że niekiedy nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Odnosiła wrażenie, że jest u progu szaleństwa. I właśnie w tamtym okresie rozsądek oraz

ciepło Felicyty pomagały jej jakoś funkcjonować. A gdy Jan wyzionął ducha, zdała sobie sprawę, że ten głód prawdopodobnie nigdy nie zostanie zaspokojony. To bolało w dwójnasób. Ale równie mocno dręczyło synową spoglądanie na cierpienie istoty, która była dla niej kimś wyjątkowo dobrym i wyrozumiałym.

Określanie Felicyty matką przychodziło jej bez najmniejszego wysiłku. Nie wynikało wyłącznie z utartego zwyczaju, lecz również z potrzeby serca. W minionych latach *madame* Drzewicka stała się dla młodej mężatki prawdziwym aniołem opiekuńczym, który prowadził ją przez meandry salonowego życia, dyskretnie ratował z opresji, osłaniał przed uszczypliwościami, pocieszał w chwilach troski, a nade wszystko okazywał prawdziwie matczyną czułość.

Prócz najbliższych krewnych nikt nigdy nie był dla Aurelii równie wspaiałomyślny. W domu teściowej ani przez moment nie czuła się istotą obcą, intruzem. To było coś więcej niż akceptacja. To było wzajemne przywiązanie. I teraz, mimo własnego cierpienia, młoda wdowa bardzo pragnęła choć trochę pomóc świekrze, ale niestety czuła się całkowicie bezsilna.

Felicyta spojrzała na kobietę siedzącą u jej stóp. Widziała drżące szlochem plecy synowej. Chciała ukoić jej cierpienie, lecz bała się panicznie, że za uleganie emocjom kiedyś przyjdzie jej słono zapłacić. Pokochała tę dziewczynę niczym rodzoną córkę. W minionych latach Aurelia stała się dla niej czymś więcej niżli tylko synową.

Pewnego dnia i ty mnie opuścisz – przeszło jej przez myśl. – Kiedyś żałoba dobiegnie końca. Odejdiesz z tego domu i zapomnisz o moim synu. A ja zostanę sama z rozkrwawionym sercem.

Chciała zamknąć tę kruchą istotę w objęciach swych ramion. Przytulić mocno do piersi. Pogłodzić bujne włosy o barwie gryczanego miodu. Zapewnić Aurelię, że wszystko będzie dobrze i zbawienny upływ czasu wyleczy ich obolałe dusze.

Nie potrafiła się przemóc.

Nie powinna utrudniać chwili rozstania im obu. Nie powinna jeszcze bardziej przywiązywać się do synowej. Wystarczy, że pochowała własne dziecko. Utrata Aurelii, do której prędzej czy później zapewne będzie musiało dojść, ostatecznie stanie się gwoździem do trumny.

Tak bardzo cię kocham, maleńka... – Usta Felicyty poruszyły się bezgłośnym szeptem. Jej dłoń drgnęła, następnie uniosła się ku głowie spoczywającej na podolku, lecz kobieta siłą powstrzymała odruch pełen tklivości. Zacisnęła palce w pięść. Stłumiła szloch.

Dla matki nie ma nic gorszego niż utrata dzieci.

Kraków

Matylda łkała rozpaczliwie, słyhać ją było przez zamknięte drzwi buduaru. Nawet towarzysząca bratowej Zuzanna nie była w stanie ukoić rozpacz, choć właśnie między innymi w tym celu Seweryn wezwał ją do przestronnego mieszkania ulokowanego w urokliwej kamieniczce przy Małym Rynku w Krakowie. Sam nie był w stanie pocieszyć swej

ukochanej Matysi, zresztą który mężczyzna potrafi skutecznie stawiać czoła damskim hysteriom? Seweryn, choć dobrze znał powód owego nieutulonego płaczu nieprzemijającego od kilku godzin, wołał wezwać posiłki w postaci siostry, niżli samemu mierzyć się z waporami, do których się przyczynił. Może niepotrzebne były wzmianki o tym, że bardzo chciałby mieć choć jednego potomka, najlepiej syna, który zachowałby ciągłość nazwiska?

Mężczyzna krążył po gabinecie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Namyslał się nad słowami Maksymiliana. Ostatecznie uznał, że faktycznie powinien wysłać żonę na całe lato do Krynicy. Sam mógł dotrzymać ślubnej towarzystwa jedynie przez część sezonu, miał w Krakowie obowiązki, które nie pozwalały mu na dłuższy wyjazd. W końcu nie wytrzymał, zerwał się i przemierzył w paru susach pomieszczenie. Skierował kroki do buduaru. Zastukał do drzwi i nie czekając na słowa zachęty, wpadł niczym burza do pokoju.

– Tak być nie może, Matysiu! – wykrzyknął. – Trudno, skoro Maks doradza wyjazd do źródeł, pojedziemy. Albo raczej ja cię tam odwiozę i będę zaglądał do ciebie w wolnych chwilach.

– Naprawdę? – ucieszyła się kobieta. Z nią doktor nie rozmawiał o absolutnie żadnej kuracji. Nie zalecił niczego ponad spokój oraz wypoczynek. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że z Sewerynem omówił temat szczegółowo. – A dokąd? Pojedziemy z Zuzią do Dusznik?

– Nie. Do Krynicy – odparł mąż. – Maksymilian obiecał, że da mi list polecający do jednego z pensjonatów.

Zatrzymamy się w hotelu Trzy Róże. Helenka z całą pewnością zadba o to, abyś przebywała w jak najlepszym towarzystwie. Cerchowic są przecież ludźmi na poziomie, kulturalnymi, nie zadają się z osobami podejrzanego konduity.

– A nie lepsze byłyby Duszniki? Albo chociażby Żegiestów czy Muszyna? – odezwała się w końcu Zuzanna. – O wiele łatwiej się tam dostać. Słyszałam, że kolej nie dociera do Krynicy.

– Choć wiem o niedogodności związanej z podróżą, inne uzdrowiska nie wchodzi w grę. Krynica słynie z leczenia przypadłości dręczących Matysię. No i oczywiście doktor Cercha zapewnił, że osobiście pokieruje kuracją. Możesz być spokojna – mówił do siostry, mimo że kwestia wyjazdu dotyczyła przede wszystkim jego małżonki. – Matylda będzie tam miała należytą opiekę.

– Och! Droga Zuzanko! – wykrzyknęła *madame* Adamczykowa, ocierając twarz z ostatnich łez. – Nie musisz się o mnie martwić. Lepiej, abyś mi poradziła, które suknie powinnam ze sobą zabrać. Jeździsz co roku do Dusznik, więc orientujesz się w kurortowych modach... Co będzie mi potrzebne w Krynicy? Bo mam nadzieję, że w przerwach pomiędzy różnymi zabiegami znajdzie się choćby odrobina czasu na jakieś przyjemności.

– A tak... Suknie – odparła Zuzanna. – Wypada, abyś sprawiła sobie coś ładnego, może nawet z odrobiną ekstrawagancji. Na deptaku zobaczysz istną rewię mody i muszę stwierdzić, że damy noszą się w uzdrowiskach zdecydowanie śmielej niż w Krakowie czy nawet w Warszawie.

Seweryn, słysząc, że kobiety podjęły najmniej interesujący go temat, pożegnał się grzecznie i odszedł. Poprosił jednak siostrę, by zajrzała do niego przed wyjściem, chciał z nią omówić nowinę przyniesioną przez detektywa.

Nie martwił się szczególnie mocno o stan swoich finansów, choć z góry zakładał, że podróż do wód od-czuje w kieszeni. Szczęśliwie nie należał do biedaków, był głównym wspólnikiem kancelarii prawnej Adamczyk & Strzelecki prowadzonej wraz ze szwagrem, również prawnikiem. Obydwaj zasłynęli ogromną skrupulatnością oraz skutecznością nie tylko w Krakowie, ale właściwie w całej Galicji. Ze swoimi problemami zwracali się do nich ludzie z dość odległych miejscowości, uwa-żając ich niejednokrotnie za ostatnią szansę w starciu z Temidą.

Może Matysia nie zrujnuje mnie do szczętu kupnem zbyt wielu toalet? – pomyślał ze zgrozą, gdyż odezwała się w nim natura centusia krakowskiego. Ostatecznie uznał jednak, że przełknie nawet spore wydatki na krawca, mo-dystkę i inne dyrdymały, byle w domu w końcu zapanował spokój, skończyły się comiesięczne histerie, popłakiwanie po kątach i wapory.

– Na litość boską, Sewerynie! Co cię opętało? Na co ci to było? – wykrzyknęła wzburzona Zuzanna, wysłuchawszy relacji brata odnośnie do poczynań prywatnego detekty-wa. A ponieważ wcześniej nie poinformował jej, że w ogóle nosi się z takim zamiarem, nawet nie próbowała ukrywać zaskoczenia.

– Musiałem to zrobić. Zrozum, ta sprawa mocno mnie frapowała...

– Przez tę sprawę Kazia gryzie ziemię! – powiedziała dobitnie. – Jestem przekonana, że to było powodem jej przedwczesnej śmierci! Rodzice przewracają się w grobie! Ona zresztą pewnie też! Trzeba dać spokój umarłym! A ty... Ty... Ty swoim niefrasobliwym postępowaniem zakłócasz spokój ich dusz! Tak być nie może!

Miotła się po jego gabinecie niczym mityczna furia, szeleszcząc halkami, tupiąc nerwowo i gestykulując. To zalamywała ręce, to wznosiła oczy ku niebu.

A zatem Zuzia nie wybaczyła – pomyślał zniechęcony Seweryn.

Przez dobry kwadrans usiłował udobruchać siostrę, a gdy w końcu ochłonęła, zaczął ją prosić, aby zmieniła wakacyjne plany i zamiast do Dusznik, wyjechała z Matyldą do Krynicy. Argumentował, że żona bywa dość niefrasobliwa, a on trochę się obawia, czy może ją spuścić z oczu na całe lato. Obecność Zuzanny zapewne mogłaby zapobiec ewentualnym katastrofom towarzyskim. Połechtał tym samym ego swej siostry, ta bowiem lubiła wchodzić w rolę anioła stróża.

Krynica

Zaraz z rana młoda pani Drzewicka posłała do łemkowskiej części Krynicy Józka, młokosa, który zajmował się drobnymi posługami. Chłopak miał przekazać jej dwóm podopiecznym, by nazajutrz po śniadaniu przyszły na lekcje.

Kiedy Aurelia opuszczała rodzinną wieś, solennie sobie postanowiła, że nigdy nie będzie próżnowała. W tym przekonaniu utwierdziła ją nie tylko lektura ulubionej powieści, w której zaczytywała się, będąc młodzieńskim dziewczęciem, ale również wrodzona chęć pomagania innym. Doszła do wniosku, że skoro zrzędzeniem losu mogła wieść życie lepsze niż to, dla którego przyszła na świat, to powinna wyciągnąć pomocną dłoń do ubogich dzieci. Szansy na poprawę ich losu upatrywała w wykształceniu.

Aurelia zawsze była przepełniona empatią. Myślała. Może nawet zbyt wiele jak na kobietę. Zauważyła, że damy zanadto myślące wcale nie cieszą się popularnością. Wręcz uchodzą za wyemancypowane dziwadła. Na nią często spoglądano przez palce. Wybaczano jej chyba znacznie więcej niż dobrze urodzonym paniom. Przypuszczała, że za plecami wiele osób z politowaniem kręci głową i komentuje jej zachowanie. Cóż, niełatwo było spod przysłowiowej strzechy wejść na salony. Ten i ów nawet pozwalał sobie półgębkiem czynić niemiłe uwagi. A Emilia, gdy tylko miała ku temu sposobność i gdy nie było w pobliżu Jana, z wielką ochotą wytykała Aurelii wszystkie słowa oraz sytuacje, które w jej odczuciu odbiegały od konwenansów. Niby czyniła to z życzliwości, by na przyszłość „kuzyneczka” nie powielala swoich błędów, lecz Aurelii i tak było przykro.

Nim odszedł Jan, każdego dnia rano chodziła do siedziby Towarzystwa Przyjaciół Krynicy i Kasy Wzajemnej Pomocy, które ochoczo współpracowało z Krakowskim Towarzystwem Dobroczynności. W Krynicy działania

skupiały się głównie na przyjmowaniu niezamożnych pacjentów do uzdrowiska oraz przekazywaniu wód mineralnych na potrzeby krakowskich placówek leczniczych, zajmujących się pomocą dla ubogich*. Aurelia, prócz sprawowania opieki nad pacjentami, dwa razy w tygodniu w osobnej izdebce uczyła dwie łemkowskie dziewczynki języka polskiego, rachunków w zakresie szerszym niż wykładany im w szkole oraz dobrych manier. Kładła młodym uczennicom do głowy, jak należy obchodzić się i rozmawiać z ludźmi. Wierzyła, że w przyszłości każda z nich zostanie należycie doceniona i znajdzie dobrą pracę w uzdrowisku, niekoniecznie przy szorowaniu podłóg czy noszeniu ciężkich kubłów z wodą, lecz przykładowo przy różnych zabiegach w Zakładzie Wodoleczniczym albo w pijalni.

Aurelia nigdy nie wywyższała się ponad prostaczków z racji nagłego awansu społecznego. Jan był dumny z tego, że żona nie spoczęła na laurach i nie wykorzystuje swojej nowo nabytej pozycji do okazywania wzdargi tym, którym wiodło się gorzej. Wymógł jednak na niej obietnicę, że gdy pojawi się nadzieja na powiększenie rodziny, to przyszła matka poświęci się w całości dziecku, poniecha wypraw do towarzystwa dobroczynnego przynajmniej na czas, kiedy będzie brzemienną oraz kiedy w domu będzie małe dziecko. A ponieważ do niczego takiego nie doszło, kobieta

* Za: Bożena Urbanek, *Towarzystwa dobroczynności na ziemiach polskich w XIX stuleciu* – artykuł w periodyku „Medycyna Nowożytna” 2003, 10 (1-2).

nieprzerwanie wypełniała swoją misję. I teraz, w tej smutnej godzinie, gdy żalność ścisła jej serce i nie pozwalała przeboleć nagłego odejścia ukochanego mężczyzny, Drzewicka uznała, że to właśnie praca pozwoli jej choć na moment wyrwać z głowy ogrom przykrych myśli.

SPIS ROZDZIAŁÓW

1	Potrzeby serca	5
2	Echo minionych dni	29
3	Smutny los	65
4	U stóp Góry Parkowej	104
5	Córeczka	140
6	Zawiedzione nadzieje	163
7	Przyjaciółki	200
8	Nadzieja	225
9	Korespondencja	249
10	Spisek	262
11	Dziedzictwo	285
12	Tajemnica	295
13	Więzy krwi, więzy miłości	320
14	Mróz	353
15	Matczyne ramiona	364
16	Cena prawdy	392
	 Bibliografia	 413